



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 16 (106)

NIEDZIELA, 11 CZERWCA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

W NUMERZE:

E. F. Szczepaniak:
Pełnia artylerii
Jan Bielalowiec:
Libia i Cassino
J. Ż.: Dwie doby przy niemieckich schronach
Bolesław Kobrzyński:
Śmierć słowika (ballada frontowa)
Wspomnienia o Lwowie
Zygmunt Markiewicz:
O Pliniuszach i Wezuwiuszu

ARP.

MONTE CASSINO TO NIE SAMOSIERRA

Stosunek żołnierza, który walczą o zdobycie twierdzy Monte Cassino, do opisu jego do zdarzenia tak nieprecyzyjne, a nasuwające tyle refleksji, będzie zawsze krytyczne. Opisy te wydawać się będą uczestnikom wydarzeń niedostatecznie, zbyt jednostronne, nie wnikać dostatecznie w dramatyczną zawziętość walki, która rozegrała się w górzach górskich na wysokości kilkuset metrów, a później przeniosła się na okoliczne wzgórza, doliny i miejscowości. Tylko bezpośredni widok tych zmagających żarliwych i bezlitosnych zdoła odwrócić ich grozę, spotęgowaną jeszcze surowością skalistego, odpychającego terenu.

Zwykły banał pisarski o „bohaterstwie”, „ofiarności”, „miłości ojczyzny” wyda się w obliczu tej bitwy irytującą deklamacją i sponiewieraniem dokonanego wysiłku. Patos ubrany w najlepszą nawet szatę literacką brzmieć będzie pusto i fałszywie. Żołnierz nie chce ani jednego, ani drugiego. Pod wpływem tego, co przeżył i przeżywał, rodzi się w nim nastroj, który oddać może najlepiej zwrotka najdumniejszej naszej pieśni żołnierskiej: „Nie trzeba nam o was uznania”...

Przychodzą chwile, kiedy istotnie kompletnie stają się najzupełniej niesłusznymi i rażą nieaktami. Bitwy o Monte Cassino, a dalej o Piedimonte stworzyły taką właśnie sytuację. Nie trzeba ich uczestnikom słów uznania, pragną oni natomiast zrozumienia oła swego wysiłku, zrozumienia na przyczyn, które skłoniły ich do rzucenia się w wir tej krwawej walki oraz jej celu istotnego i prawdziwego.

Na to, by zrozumieć ogrom wysiłku włożonego w te bitwy, trzeba było przynajmniej dokładnie zapoznać się z terenem walki. Nie pojmie tego wysiłku ten, kto nie przeżył stycznej Cavendish Road, by dostać się na pole walki, kto nie przeszedł tej prawdziwej obojczy śmierci między Widmem a górą 593, kto nie spojrzął na panoramę nad tym całym terenem szczyt Monte Carlo, kto nie zjechał do gęsto rozrzuconych na zboczach wzgórz bunkrów niemieckich, kto nie widział rozbitych lub uszkodzonych czołgów w amerykańskich i nowozelandzkiej z poprzecznych ofensyw, a naszych z ostatniej wspinających się zuchwale na zbocza, skąd raz i je piekielny ogień nieprzyjaciela.

Nie winnie w dramacie boju pod Monte Cassino i ten, kto nie poczuł zapachu tej bitwy, nie ujrzał ciał poległych naszych chłopców zastających w marszu, który dla nich był marшем do Polski, kto nie zetknął się z rannymi w szpitalach oraz nie widział trudu i rozgorączkowania na twarzach uczestników bitwy. W tych bowiem obrazach malowała się wojna prawdziwa, wojna nowoczesna, brutalna i zmechanizowana, o której lekko, powierzchownie, z lekkim sentymentem, jak o jeszcze jednym wyczynie „bohaterskich” Polaków pisać nie wolno i nie podobna. Bitwa o twierdzę Monte Cassino, jak i następna walka o Piedimonte należeć będą do najważniejszych rozdziałów tej wojny aż nadto ponurej. Wszystko też od bitew tych wiele powaga i dostojestwem włożonego w zmagania wysiłku dowódców i wykonawców.

Walki ofiutowały w przykłady nieprecyzyjnego bohaterstwa. Oczywiście. Bohaterstwo igrze do naszego żołnierza nieudoczniwe. Mnożyć się będą opisy tej epoki, w miarę jak napływać będą wspomnienia z różnych odcinków walki. Piszącemu słowa najlepiej znane są szczegóły bitwy o

Piedimonte, drugiej po Monte Cassino zapory w niemieckim systemie obronnym na tym terenie. Dzięki swemu położeniu również u stóp Monte Carlo, dzięki panowaniu nad ważnym odcinkiem doliny Liri z lotniskiem w Aquino, Piedimonte stanowiło prawdziwą twierdzę, broniła zaciekle przez Niemców przez kilka dni po oddaniu Monte Cassino. Grupa uderzeniowa ppłk B. opanowała miasto w pierwszym dniu natarcia (20.V), wdarała się na zbocza sąsiedniego wzgórza 533, otrzymała wszakże w związku na ogólną sytuację na froncie walki wy-

ki o Monte Cassino i o Piedimonte nie były improwizacją, nie były krótkotrwałymi porywami, ale wynikiem gruntownej, przemyślanej pracy dokonanej wszystkich szczebli korpusu. Badacz tej bitwy nie raz będzie zastanawiał się, tak jak my już dziś zastanawiamy się, czy wszystko to było możliwe? Czy było możliwe wprowadzenie wojsk na stanowiska na odczech nieprzyjaciela? Czy było możliwe obsadzenie tych stanowisk w skałach na wysokości kilkuset metrów, wprowadzenie na tę wysokość czołgów wąską, wykutą w skałe dro-

gach, pod ostrzałem nieprzyjaciela. A przecież nie zdarzył się wypadek — jak stwierdzali lekarze — by kierowca opuścił wóz ambulansowy lub nawet przyspieszał pod ogniem jazdy, gdy miał rozkaz wolnego postawiania się ze względu na stan rannych.

We wszystkich tych objawach trzeba istotnie widzieć nie tylko przykłady: młodych żołnierskich, ale przede wszystkim woli. Monte Cassino nie było wyrazem słomianego ognia, o który tak często i niesłusznie posp-

nił nawet wróg. Natomiast musimy wykazywać zapomnianejmu światu, że nie słabnie nasza wola osiągnięcia na drodze walki wszystkich naszych politycznych celów, że nie zdoła nas powstrzymać w dążeniu do takiej Polski, jaką my chcemy mieć, a nie takiej, jaką nam ktoś pragnie urządzić zalenie od takich czy innych koniunktur politycznych.

I to jest sens moralny tych walk, tajemnica zwycięstwa uporu i woli ich uczestników. Wyraził to prawdę najprecyzyjniej jeden z szeregowych, gdy powiedział: „Położenie Polski jest dziś tak ciężkie, że Monte Cassino musi być przez nas zdobyte”.

Żołnierz 2. Polskiego Korpusu bijąc się o wzgórze Widma, 593, 569, St. Angelo, o Mess Albanetta, o ruiny Klasztoru, o Passo Carro i o Piedimonte, walczą nie o stawę, ale o cele polityczne. Ciał siłą swego uderzenia i wielkością swoich zwycięstw zamieścił słabosć naszych osiągnięć politycznych. Bil się dlatego, by czynić jego orężny został przekuty na broń polityczną. I takiego też stosunku domaga się do swego nadzuzkiego wysiłku.

Polityka do wojska nie należy. Nie należy nawet do niego, słusznie czy niesłusznie, propaganda na zewnątrz. Inne, nie wojskowe czynniki powołane są do wyłumaczenia światu, jaki był sens bitew u podnóża Monte Carlo. Należy mniemać, że propaganda ta potrafi uderzyć we właściwy ton, że będzie odbiciem życzeń żołnierza, a nie takich czy innych względów taktycznych.

Piszemy tak szczerze, gdyż nie zawsze propaganda na zewnątrz miała szerzszą rękę. Wobec krwawej i nieprzerwanej ofiary kraju wywdywalimy zazwyczaj u obcych zamiast podziwu uczucie litości i to tak dalece, że nawet życzyli nam cudzoziemcy zaczął wskazywać, czy jest rzeczą słuszną, by naród nasz narządził się na tego rodzaju „niepotrzebne” wyrznięcie. Dopiero w ostatnich czasach zaczęliśmy większą klasę naciskać na fakt, że walka nasza w kraju jest wyrazem obmyślanej działalności podziemnej organizacji bojowej.

Czasz obecnie nie mają uznania dla nieświadomych poczyni. Baczyc też należy, by bitwy o Monte Cassino i o Piedimonte nie zostały zrozumiane jako wyrzut paposa bohatera leżą lekkożylnymi i nieświadomego narodu, by międzynarodowe pięknotuchy nie poczęły tłumaczyć napiecia tych walk naszym brakiem kultury, jako że w mniemaniu tych czynników tylko naród dostatecznie dzięki może zdobyć się na takie natarcia, na taką furję boju.

Naród nasz nie jest dzięk, należy raczej do nadmierne łagodnych. Ale naród nasz ma silną wolę życia, życia w woiności i we własnym domu. Gdzie jest ten dom, o tym świadczy ewidencja tego niezwykłego wojska, niesamowite losy każdego żołnierza, nazwy oddziałów, które ten bój zażyły i krwawy stoczyły. Wola życia kazała im iść do walki mimo ciosów politycznych, których nie oszczędzono im w czasach ostatnich, wola życia kazała im wydobyc z siebie ten kapitał uporu i charakteru — wola życia każe im w poległych kolegałch widzieć nie ofiary tragedii, ale „kamienie rzucone na szańce” nowej wolności, wola życia każe im wierzyć w przyszłość Polski wbrew wszystkiemu, a w razie potrzeby wbrew wszystkim. Monte Cassino wiarę tę znnowu podniosło budząc wśród nas zaufanie — do siebie.

Prowizoryczny cementarz pod szczytem wzgórza 593 żołnierzy



Fot. inż. W. Ostrowski

2. Korpusu Polskiego poległych w bitwie pod Cassino

cofania się do wschodniej części Piedimonte. Tej wschodniej części miasta ucepili się czołgami jak pazurami i już jej nie oddała walcząca oko w oko przez kilka dni z wrogiem ukrytym w bunkrach w odległości nieraz kilkunastu metrów. W tych to walkach zginął dca odcinka pod Piedimonte kpt. Kucuk-Pięcki w chwili, gdy sam łożował ratować rannych. Na tym samym odcinku załogi nasze nie chciały mimo rozkazów opuścić i zniszczyć czołgów, tak wielka była zwycięstwo tego wojska i tak silne jego przywiązanie do sprzętu bojowego.

Ale może nie tyle na owe dowody bohaterstwa należy w walkach o Monte Cassino czy o Piedimonte położyć nacisk główny, co na wykazaną przez żołnierza nierównanę dość cmiejkności i staranności osiłe fachowej, jakiej wymaga współczesne. zmehanizowana wojna, na jego wolep podłożenia trudności techniczno-wojennym, na jego upór zwycięstwa. Wal-

ga Cavendish, prowadząc nad strumą przepaścią? Czy było możliwe w ogóle zdobycie i opanowanie tych wzgórz najeżonych nieprzyjacielskimi bunkrami, z rozsianymi wszędzie minami, gdzie za każdym kamieniem, za każdą wklęsłością mogła kryć się zasadzka?

Wszystko to wyda się nam możliwe wtedy, jeżeli widzieć będziemy w bitwie wkład nie tylko bohaterstwa, ale i skupionej, wyteżonej woli. Dowody tej woli musieli dać nie tylko bezpośredni uczestnicy walki, ale i ci, którzy pracą swą walkę tę podtrzymywali. Dla przykładu należy wskazać — choć o tym często mówi się w oddzieleniu — na pracę kierowców i to nie tylko kierowców sprzętu bojowego, czołgów, samochodów pancernych, ciężników dział, ale także wozów z zapasami, ambulansów. Pełnili oni swą służbę w warunkach nad wyraz ciężkich, zazwyczaj w nocy, po ciemku, na fatalnych

dzano Polaków, ale przeciwnie — ich uporu i charakteru.

Bitwy o Monte Cassino i o Piedimonte prowadzone były dlatego z tak wyraźnie zarysowaną i świadomą wolą, gdyż były wyrazem dążenia do pewnego celu bardziej ogólnego, przekraczającego znaczenie frontu we Włoszech.

Nikt nie wydobylby z żołnierza naszego uporu i woli, gdyby nie przekonanie żołnierza, że bitwa ta jest potrzebna, konieczna dla naszej sprawy. Uczestnik walk pod Mont: Cassino nie chciałby, by jego czyn kłócił się z wieloletnią tradycją naszego państwa, która prócz sławy Żołnierskiej i wzbudzenia rycerskich tradycji w narodzie dala nam tak mało. Dziel, a zwłaszcza w tej wojnie, nie potrafimy już legitymować się bohaterstwem naszego narodu. Nie potrzebujemy demonstrować wartości żołnierza polskiego, którego cnoty oce-

JULIUSZ SŁOWACKI

RZYM

Nagle mnie tręcił płacz na pustym błoniu:
„Rzymie! nie jesteś już dawnym Rzymem”.
Tak, śpiewał pasterz trzód siedząc na koniu.

Przedem mną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pataców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten, co jest ołbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Obrzydł tłum, jako kabydzi stało,
Które ogamną sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tę gromadę
Pomny zachwiał wiatr i pydził dalej,
Jakby girlandę dusz w błękitność blałą.

I zdjął mnie wielki smach, gdy pozniakali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich też nie latem,
Jak wycenzas, gdy mnie spytako w pustyni
Słońce, szczydzący bóg, czy Rzym widzianem?..

Dr. TADEUSZ FELSZTYN

RAKIETA I NAPĘD RAKIETOWY

W ostatnich czasach pisma codzienne i tygodniki ilustrowane coraz częściej przyniosły wiadomości o pociskach, czy też samolotach rakietowych. Dowiedzieliśmy się więc, że zarówno Niemcy jak i Anglijcy posiadają już samolot o napędzie rakietowym; czasopisma przyniosły nawet pewne szkice i rysunki, które wykorzystano w niniejszej serii artykułów. Od czasu do czasu pojawiają się wiadomości o niemieckich „kolosalnych” pociskach rakietowych, owej „broni tajemniczej”, która ma uratować Niemcy ze ślepego zaułka, w jaki ich wpuściła ich zaborca polityka. „Union Jack” podał swego czasu rysunek angielskiego rakietowego pocisku przeciwlotniczego, który — zdaniem tego dziennika — w przyszłości ma rzekomo zastąpić obecnie stosowane „pelotki”.

Widać więc, że napęd rakietowy, o którym dużo myślono, mówiono i pisano w epoce między dwiema wojnami światowymi, stał się obecnie rzeczywistością i że z rozważań teoretycznych i prób laboratoryjnych wszedł już w fazę realizacji technicznej. Warto więc zająć się nieco bliżej tym zagadnieniem.

I.

Zacznijmy od zastanowienia się nad tym, co to jest ów tajemniczy „napęd rakietowy”.

Zwykle działanie rakiety wyjaśnia się następująco: przy strzale, gdy pocisk idzie do przodu pod wpływem ciśnienia gazów, to lufa i związane z nią części (zwane wspólnie „zespołem odrzutowym”) idą do tyłu. Jest to ów znany „odrzut”, który tyle kłopotu sprawia przy działach (dla zapobieżenia przecież jego skutkom działano na oporopowrotniki), który tak jest pomocny przy broni samoczynnej. Ten ruch lufy do tyłu i pocisku do przodu są ściśle związane ze sobą. Ruch zespołu odrzutowego do tyłu jest bowiem tyle razy wolniejszy od ruchu pocisku do przodu, ile razy pocisk jest cięższy od zespołu odrzutowego. Ale nie sam pocisk. Do ciężaru pocisku należy bowiem dodać i część ciężaru gazów prochowych, które wraz z pociskiem biegą do przodu.

Wyobraźmy sobie teraz, że będziemy kolejno zmniejszać ciężar pocisku. Wtedy szybkość gazów wylatujących z lufy będzie rosła, ciężar natomiast ogólny pocisku i gazów będzie maleł. Odrzut jednak będzie oczywiście dalej istniał, a szybkość jego będzie ściśle odpowiadać wyżej określonej prędkości. Niech wreszcie pocisk zniknie całkowicie, a pozostaną tylko same gazy, wylatujące z lufy z dużą szybkością. Wtedy odrzut, rzecz naturalna, nie zniknie i lufa nadal będzie się cofać do tyłu z tym większą szybkością, im więcej gazów wylatuje z lufy w jednostce czasu i im większa jest szybkość ich wypływu z lufy.

Odwroćmy teraz sprawę. Zamiast zespołu odrzutowego weźmy pocisk, zamiast lufy, dyszę (rys. 1) skierowaną otworem w tył pocisku. Niech w jakikolwiek sposób wytworzą się w komorze wybuchowej, połączonej z tą dyszą, gazy, które z wielką szybkością będą z niej wypływać. Wtedy wypływ pewnych ilości gazów z dyszy do tyłu na lufę pociskowi impuls do przodu, przy czym impuls będzie tym większy, im więcej w tym samym czasie gazów wypłynie z dyszy i im większa będzie ich szybkość.

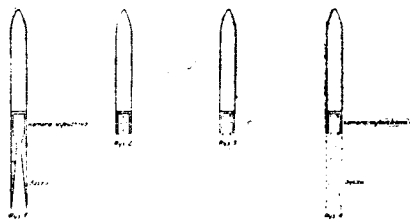
Tego rodzaju tłumaczenie jest niewątpliwie bardzo dogodne dla uzyskania liczbowego związku między szybkością wypływu gazów oraz ilością gazów, wypływających w ciągu jednej np. sekundy z dyszy, a impulsem, jaki wypływ ten udzieli pociskowi. Jest on jednak tylko tłumaczeniem pośrednim, niby „chodzeniem do domu przez drzwi kuchenne, zamiast od frontu. Nie wyjaśnia on bowiem istoty zjawiska i zostawia ciągle nierozwinięte pytanie, co to za zwiastko ów tajemniczy „odrzut”.

Spróbujmy więc podejść do sprawy od strony najprostszej, od samego sedna rzeczy.

Wyobraźmy sobie, że wewnątrz pocisku (rys. 2) w komorze wybuchowej w jakiś sposób wytworzyły się

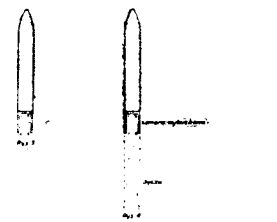
gazy o pewnym ciśnieniu. Dopóki komora jest zamknięta, fakt ten nie wywrze żadnego wpływu na ruch pocisku. Ciśnienie gazów do przodu równowagi ciśnienia gazów do tyłu, ciśnienie w prawo — ciśnienie w lewo itd.

Teraz jednak w jakikolwiek sposób otworzymy tylną ścianę A B komory (rys. 3). Wtedy ciśnienie na tę ścianę nie będzie więcej przeciwdziałać ciśnieniu na ścianę przednią C D i pocisk ruszy do przodu zupełnie tak, jak gdyby pocisk był w lufie i na ścianę C D działało ciśnienie gazów prochowych. Różnica polega tylko na tym, że w lufie kierunek pociskowi nadają jej ściany, tu zaś kierunek lotu zależy od kierunku ciśnienia gazów na ściankę C D, a więc od kierunku ost pocisku.



jakie się wylizcy teoretycznie na podstawie energii cieplnej mieszanek napedowych, są tylko górna granica, której osiągnięcie w praktyce nigdy nie będzie możliwe.

Przedstawiliśmy powyżej dwa sposoby tłumaczenia działania rakiet, jeden przez bezpośrednie ciśnienie gazów na ściany komory wybuchowej, drugi drogą przez odrzut. W gruncie rzeczy jednak oba tłumaczenia są identyczne. Zgodnie bowiem z prawami rządzącymi ruchem gazów szybkość gazów, które wylatują z dyszy i ich ilość w jednostce czasu jest taka, że szybkość, jaką w tym czasie otrzymał pocisk na skutek ciśnienia na ścianę C D (po odliczeniu strat przez przepływ poprzez dyszę), równa się stosunkowi ciężaru gazów do ciężaru pocisku pomnożonemu przez szybkość



wypływu tych gazów — tak właśnie, jak to wynika z praw ruchu odrzutowego, wyliczonych na wstępie niniejszego artykułu.

Dlatego też w dalszym ciągu naszych rozważań stosować będziemy jeden lub drugi sposób tłumaczenia, zależnie od tego, który w danym wypadku będzie nam dogodniejszy.

II

Rakieta jest dość starym wynalazkiem. Już tysiąc lat temu znali ją Chińczycy, choć zdaje się, że stosowali ją raczej jako ogień sztuczny, niż jako środek bojowy. Z opisu jednak niektórych narzędzi do zastraszania przeciwników, jak owe „smole i zielece ogniem” stosowane przez Tatarów pod Lignicą, można wnosić, że miały one pewien związek z rakietami. To samo można powiedzieć o niektórych odmianach „ognia greckiego”, stosowanego przez Bizantyjczyków i Arabów; nie jest to jednak rzecz pewna.

Z chwila pojawienia się prochu czarnego w Europie, ta sama droga — poprzez Maurów i Hiszpanie — dochodzi i do nas rakiet. Przez długi czas były to tylko sztuczki pirotechniczne, ogień sztuczny, urozmaicając wszelkiego rodzaju festyny wydawane przez królów i możnych. Książki z XVII w. omawiające zagadnienia artylerii i prochów, poświęcają tajemniczy szlucce przygotowywania tych rzeczy co najmniej miejsca, co nauczycielu wyrobu prochu i strzelania z dział.

Dopiero z końcem XVIII w. rakietą zaczęła otrzymywać i zadania wojskowe. Pojawiają się pierwsze działa rakietowe o donośności nawet większej, niż działa dotąd stosowane, a mające ponadto i te zalety, że pocisk przez działanie wybuchowego jest równocześnie i pociskiem zapalającym. Działa te utrzymały się dość długo: ostatni raz jeszcze w 1864 r., w czasie oblężenia Kopenhagi, Prusacy ostrzeliwali miasto z dział rakietowych. Później jednak rozwój dział gwintowych, znacznie celniejszych (choć początkowo bynajmniej nie bardziej donośnych) od dział rakietowych wyparł te ostatnie tak skutecznie, że technika pocisku rakietowego poszła niemal zupełnie w niepamięć i że ponowne próby powrotu do niej w ostatnich latach przed obecną wojną trzeba było zaczynać raz jeszcze niemal od początku.

Zastosowanie rakiet dla celów wojskowych w wojnie poprzedniej ogranicza się jedynie do wyrzucania w górę sygnałów świetlnych i pocisków oświetlających przedpole. Stąd też dla obu tych typów pocisków utrzymał się w potocznej mowie nazwa „rakietki”, choć ostatnio coraz częściej wyrzucano je z pistoletu (zwano niekiedy „rakietnicą”), jak każdy zwykły, przyswójli pocisk. Słownictwo oficjalne stosuje tu nazwę bardziej właściwą, „pistolet i nabój sygnałowy”, względnie „oświetlający”.

Dopiero w początku bieżącego XX stulecia Opel rozpoczął próby nad samolotem napedzonym nie benzyną, ale szeregiem rakiet, które zapalały się kolejno nadając samolotowi dużą szybkość. Szereg prób udało się i wyniki były zachęcające. Ponieważ jednak zapłon był bardzo prymitywny, a użycie materiału napedowego bardzo wrażliwe na ogień, toteż raz pewnego w czasie jazdy cała masa wybuchła rorywając wóz i zabijając konstruktora.

*Nim rzucić swój świetny raport na prasę,
Nim uwiecznicie trupy na swoich kamorach,
Otrwoście dobrze oczy patrzcie w oczy zgasił-
Obey korespondenci z agencji Reuters.*

*Niechaj wam z trudem przjdzie d-presso dyktowat
I niechaj usta zadrga, gdy przyjdzie wam wyznać,
Ze musieliśmy znowu alians porzucić
I alians ten nisz jeszcze krajów naszyc obryzgać.*

*Nam ten trnigiczny klasztor głązom był na drodze.
Nam, to znaczy żołnierzom. Nie dla propagandy
Ginteyi będą mchuby i w chwaly potódze
Zostawiamy na trupach naszyte „Polandy”.*

*Jestli Polska na szpaltach ponownie zacięży,
I uderzy w parlament polski pionina,
— Darnie...!*

*Przez pamięć na zabitych w tej bitwie żołnierzy,
Na Cassino, przesuniecie nam linie Curzona — I*

*My zakłóćmy fale waszych radiostacji,
I nasze trudne słowa, kiedy mówią speaker.
Słuchajcie — bije w obna potężnych redakcji
Czujemy, złamany skrzydł- em obżona Niket...*

*Muzo zwycięż narodów, rozpal blyskawice,
Gdy znow nas wolat będziez. Jesteśmy przy broni —
Krew jest zawsze czerwona i w szepcie ognia
Wyzna ci prawo Polski — wykreśli granice!...*

Tadeusz K. Sowiński

Myśli napędu rakietowego jednak nie zaniechano. Znalazło się grono entuzjastów, którzy zaczęli daleki studiować technikę rakietową. Studia te najścisłej rozwinięły się w Ameryce i Niemczech (to Rosji wspomniemy osobno). Momentem raczej niekorzystnym dla rozwoju techniki tej był fakt, że majoriściwi zainteresowali się nią marzyciele lotów międzyplanetarnych. Idea lotu na księżyc (na razie przynajmniej) od dawna już czasu błąkała się w umysłach ludzkich. Wiele z nas czytało zapewne powieści Vernego „Podróż na księżyc” lub Żuławskiego „Na srebrnym globie”. Obaj ci autorowie wyobraźli sobie, że wystrzela pocisk z taką szybkością, żeby pokonał on siłę ciężkości kuli ziemskiej i wszedł w przestrzeń międzyplanetarną. Nieestety jednak, żeby pocisk mógł opuścić ziemię, szybkość jego u kresu atmosfery, a więc tam gdzie nie ma już oporu powietrza, musiałaby wynosić okragło 11 1/2 tysiąca msek. Otóż jak można wykrząc — szybkości tej nie może nadać i nigdy nie będzie możliwe nadać żadną lufą wykorzystującą dla wyrzucenia pocisku energię chemiczną zawartą w ładunku motającym. Gdyby nawet ładunek ten miał energię odpowiadającą najbardziej energetycznej spośród wszystkich możliwych reakcji chemicznych jaką jest połączenie ozonu z wodorem, to i tak szybkość pocisku nie mogłaby przekroczyć w żadnym wypadku 3.000 — 3.500 msek. A stąd do 11 1/2 tys. jeszcze bardzo daleko. Może kiedyś, gdy potrafimy wykorzystać energię rozpadu atomów, położenie się zmieni. Dziś jednak jest to jeszcze muzyka dalekiej przyszłości.

Natomiast przy napędzie rakietowym osiągnięcie tego rodzaju olbrzymich szybkości jest — teoretycznie przynajmniej — zupełnie możliwe. Co prawda, gdyby nawet udało się przemienić na energię lotu całą energię chemiczną zawartą np. w reakcji spalania się ciekłego wodoru w ciekłym tlenie, to i tak dla osiągnięcia tej szybkości ciężar paliw i musiałby być co najmniej 7 razy większy, niż ciężar pocisku czy wozu, któremu ma nadać te fantastyczna szybkość. W praktyce niestety wykorzystanie całej energii chemicznej nigdy nie jest możliwe, a ponadto przy tak dużych szybkościach pocisk musiałby do pokonania olbrzymi opór powietrza, nawet na bardzo dużych wysokościach (jak o tym świadczy rozżarzenie się do białości meteorów), przechodzących przez górne warstwy atmosfery), co oczywiście pochłonięty wiele energii. W rezultacie więc, żeby pocisk otrzymał taką szybkość, która by mu pozwoliła wejść w przestrzeń międzyplanetarną, ciężar masy napedowej musiałby być kilka kilkadziesiąt razy większy, niż ciężar samego pojazdu.

Zrozumiałym jest więc, że ludzie, którzy jako cel postawili sobie podroże międzyplanetarne, nie myśleli o rzeczach, które w ich mniemaniu były tylko drobnozami. Zaprzętni w cele dalekie i na razie fantastyczne zlekceważyli to, co było bliskie i co leżało w danej chwili w zasięgu możliwości technicznych. Zapomnieli oni, że technika nie może nigdy od razu realizować celów maksymalnych, lecz że musi zaczynać od małego, by osiągnąć rzeczy wielkie.

W rezultacie tego utopiętego stosunku do zagadnienia jego realizacja opóźniła się co najmniej o 10 lat. Dopiero z chwilą, gdy w Niemczech Hitler doszedł do władzy, zaczęła się praca nad zastosowaniem idei napędu rakietowego dla celów wojskowych. Znikły publikacje, zamilkły głosy uczonych niemieckich, przerwały się ich kontakty z uczonymi innych krajów.

Jest rzeczą zrozumiałą, że po stwierdzeniu tego faktu zaczęły się i inne kraje interwecować zagadnieniem zastosowania rakiet dla celów wojskowych. Największe zainteresowanie wykazała Rosja sow., która stworzyła osbny instytut, zatrudniający przeszło 400 pracowników naukowych. Ale i w innych krajach nie zaapiano gruszek w pole, choć prace prowadzone z mniejszym może to m chem.

O wynikach, jakie prace te dzisiaj osiągnęły, pomówimy w następnym artykule.

JAN BIELATOWICZ

LIBIA I CASSINO

Zestawienie takie jest dziś na ustach wielu żołnierzy polskich, a próba krytycznego poglądu na te dwie wspólne chwale polskiego oręża — jest bardzo na czasie. Jakis filozof powiedział kiedyś, że najstarszą rzeczą jest pamięć. Pamięć jednakże może być również najprzdatniejszą, najbardziej błogosławioną cechą ludzką. Istnieje zawsze bowiem tendencja do skupiania uwagi na ostatnio zaszłych zjawiskach i zapomniania o tych, które minęły. Ale nam nie wolno uронić bezcennego skarbu historii polskiego oręża, jakim jest kampania libijska Karpackiej Brygady.

W świetle wspaniałej bitwy o Cassino wartość wysiłku Brygady Karpackiej w bojach pustynnych nie będzie, ale właśnie Cassino oświecił jej wielką rolę. Cmentarz Tobruku i cmentarz Cassino są świadectwem tego samego myślenia i tej samej ofiary.

Liczbą wojska nie zawsze i nie koniecznym jest miernikiem znaczenia walki. Niemcy np. uważają Narwik za jedną z największych swoich kampanii. Brygada Karpacka, z własnym pułkiem artylerii, dywizjonem pancernym, pułkiem rozpoznawczym, kompaniami saperów, łączności, sanitarną, służbą transportową, a więc licząc oddziały pierwszej linii, nie była znowu jednostką tak małą.

Znaczenie kampanii libijskich, w których Brygada Karpacka brała poważny udział, nie jest absolutnie mniejsze od kampanii włoskiej.

Napisano o nich wiele. Do najważniejszych należy syntetyczna praca Alexandra Clifforda pt. „Trzech przeciw Romułowi” (tj. trzech dowódców poszczególnych kampanii: Waweli — Auchinleck — Alexander), wydana w Londynie u Harrapa, 1943. Książkę tę nazwała żuźdnie krytyka anglosaska „a serial piece of historical writing” („poważną przyciężką literatury historycznej” — „The Observer”). Jest to istotnie książka historycznie obiektywna, pisana bez specjalnej sympatii dla Polaków, lecz oceniająca ich rolę sprawiedliwie.

Na wiosnę 1941, z chwilą odpylenia dywizji australijskich i nowozelandzkiej do Grecji, na teren Pustyni Zachodniej sprowadzona została B.S.K. W sierpniu tego roku znalazła się w obłężonym Tobruku. Clifford tak widzi Polaków w Tobruku: „Polacy ożyli od razu tempo. Ich uciecha na ewentualność walki z Niemcami z trudem musiała być powściągnięta. Czasami ogłuszający huk wybuchów w nocy na polskim odcinku, a żołnierze wyjąłi ze śpiewów i parzyli, czy Niemcy nie atakują. Niebawem wszystko się wyjaśniło. Polacy skłonni byli interpretować patrol jako ofensywę. A niestety zdawało się, że widział Niemca. Albo po prostu Polacy lubili nawaly ogniowe”.

„Raz jeden z mych przyjaciół przyszedł objasnić Polakom, gdzie stoją działa nieprzyjacielskie. Słuchali oni grzecznie, lecz bez entuzjazmu, gdy im wylizano baterie włoskie. Wtem przyjaciel mój wymienił baterię niemiecką. Gdy mówił, trzech Polaków chyłkiem opuściło namiot. Na uboczu usłyszał on pospiszkie słowa komendy. I nim skończył mówić, polskie działa były w akcji, wszystkie na celu Niemców” (str. 112/3).

Innym razem Anglik objaśniał rozmieszczenie dywizji włoskiej. „Znowu Polacy słuchali grzecznie. Potem pokazał placówki niemieckie. W ciągu kilku minut wszystkie te trzy ogłuszone placówki przypadły do ziemi pod piorunującym ogniem pocisków. Włochów pozostawiono w spokoju” (str. 113).

Clifford po ostatnim akcie kampanii afrykańskich, a przed lądowaniem we Włoszech czyni następującą syntezę wojny w Afryce. „Ta wojna afrykańska sumowała się sama w swym rozwoju. Jej postęp był raczej geometryczny, niż arytmetyczny. Nawet w czasie walki VIII Armia przetrwała doświadczenia, wyciągała wnioski, uczyła się. Bir Macheim, Gazala, Tobruk — wszystkie te stare nazwy, które się wydają tak odległe, przestarzałe i niepotrzebne dziś — zostały zażytkowane. Żyją one jak ciało zabi-

tego zwierzęcia w organizmie stworzenia, które je pożarło. Te wszystkie błędy dowództwa i broni, całe życie ludzi i maszyn, krew, heroizm i wysiłek zostały podsumowane w ostatecznym rezultacie. I ta suma całości nie jest szczegółową analizą, lecz istniejącą rzeczą, armią — VIII Armia w jej obecnym stanie. Produktem tych wszystkich kampanii jest armia, która może wygrać ostatnią kampanię.

„VIII Armia nie była wyłącznie brytyjską armią... Jej żołnierze pochodzili z każdego zakątka imperium brytyjskiego, z Francji, Polski, Grecji i Czechosłowacji. To była w dosłow-

świata... Pomyślałem, że to zrujnowane miasto, port pełen wraków, straszliwie podarta każda pięćdziesiątka ludzi i maszyn, krew, heroizm i wysiłek zostały podsumowane w ostatecznym rezultacie. I ta suma całości nie jest szczegółową analizą, lecz istniejącą rzeczą, armią — VIII Armia w jej obecnym stanie. Produktem tych wszystkich kampanii jest armia, która może wygrać ostatnią kampanię.

Tobruk oprócz normalnego oblężenia miał też swoje „19 dni” — od rozpoczęcia ofensywy Auchinlecka aż do jej głównego celu — oswobodzenia Tobruku i przeżył wtedy straszliwe nawaly ognia i hetakembij ofiar w natarciach. Polacy odparli wów-

gniarzami karabinów maszynowych” (str. 179). Clifford daje długi opis natarcia Karpackiej brygady pod Gazalą podkreślając brawurę Polaków i ich wielkie umiejętności wojenne, wiele wspominając o gcn. Kopańskim (str. 182 — 189). Nie dziwnego, bo „wielki atak”, w dniu szczególnie nie sprzyjającym, przeprowadzili Polacy. „Było zawsze coś szczególnie podniecającego w tych Polakach, ptwim ten rycerskości i fanatyzmu, który nadzwyczajnie dawał ducha, a ich entuzjazm do zabijania Niemców był nieprzechowawny” (str. 182 i 3). Rzecz jasna, że zapora artylerii trzeba było przejść, ale

Jeżeli dodać do Tobruku i Gazali jeszcze Bardie, Belhammed, Mechili („key fort” — „fort kluczowy”) i etapy odwodowe, wysiłek Karpackiej brygady w Libii nabierze jeszcze piękniejszych barw.

A teraz spróbujmy zestawili Libię i Cassino, względnie kampanie włoską Polaków. Świeżość bitwy o Cassino, jej znaczenie operacyjne oraz zawziętość walk i położone przez nas ofiary podkreślają absolutną wielkość tego świętego, głośnego na cały świat zwycięstwa całego Korpusu.

W Tobruku nie walczyliśmy sami, ale broniliśmy jedną brygadą blisko połowy odcinka (około 15 km), naturalnie nie licząc odwodów, przeciwko dwu włoskim i jednej niemieckiej dywizji. W Gazali walczyli B. S. S. K. 2000 jeńców, nacierała zaś na dywizję. Na skrzydłach walczyli Nowozelandczycy i Hindusi, a w odwodzie byli Anglicy, elementy angielskiej dywizji pancerniej i Australijczycy.

W Libii walczyła B. S. S. K. bez przerwy 7 miesięcy. Odcinek MEDAUAR w Tobruku przypominał mocno pozycję CASSINO, jeśli idzie o odległość od linii npla. W Cassino tylko fragmenty linii były odległe od pozycji npla poniżej 100 m, w Tobruku znaczna ich część. Pozycje w Tobruku były to betony, odporne nawet na bomby, w Gazali schrony kute w skałach. Dodać trzeba, że większość pozycji w Tobruku na ostatnim odcinku polskim składała się jednak ze schronów ziemnych. Poza tym w Tobruku obowiązywały niepisane prawa przerwy ogniowych, w Cassino walka była bezustanna. Natężenie ognia było przeciętnie w Cassino o wiele większe.

Tobruk nie miał srodkiem wody, nie miał dostaku chleba, a tylko konserwy, w Cassino zaopatrzony było świeże i znosne. Dodawkę na pustyni i w górach był jednakowo niezbędny (w Libii jednak odbywał się samochołami, a tylko ostatni km na plecach żołnierzy).

Tobruk i Gazala były terenami pagórkowatymi, skalnymi. Natarcie gazalskie szło pod górę. Były to raczej fałdy terenu wobec cassińskich 593 aż do 1669 m. Ale równa pustynia — to także nie jest sprzymierzeniec żołnierza, zwłaszcza nacierającego. Gazala była świetną linią obronną, kuta w litej skale, Tobruk zaś, jak to nazywa Clifford — „Prison” (więzieniem) i psychicznie działał w ten sposób, że w razie niepowodzenia z twierdzy nie ma wycofania, a w razie stordpowania staków następuje wyłożenie. Cassino wreszcie nie miało prawie akcji patrolowej, tak typowej dla Tobruku.

Pod Cassino mieliśmy bezwzględny przewagę artylerii, w Tobruku równowagę, a w Gazali niższość. W Tobruku i Gazali — role lotnictwa były odwrotne w stosunku do Cassino. Tam Niemcy i Włosi mieli nie tylko przewagę, ale długimi okresami monopol bombardowania. W Tobruku jeden nalot przypadał na godzinę. Stałe też panowała obawa przed atakiem czołgów „osi”.

B. S. K. straciła w Libii i Egipcie około 300 zabitych, licząc w to zatonionych w czasie transportów do Tobruku i z powrotem i miała 600 rannych. Obliczono, że oddziały pierwszej linii miały poniżej 30 proc. strat. Oprócz tego wielką dolegliwością B. S. K. na pustyni były choroby, w pierwszym rzędzie żółtaczka i tzw. gorączka Tobruku (rodzaj malarii).

Nawaly ognia bywały w Tobruku niekiedy potworne, a w natarciu Szkotów na „PLONKI” dywizja ta poniosła 50 proc. strat swego stanu. Były też naloty kilkuset samolotów jednocześnie, jak np. 1 września 1941 r. Ogólnie wszakże walka w Libii miała charakter bardziej rycerski i nie cechowała jej okrucieństwo i zawziętość w skali Cassino.

Cassino jest bitwą bez wątplenia — wspaniałą. Walczy w niej cały Korpus Polski, a zadanie, które mu powierzono było niezwykle ciężkie, choć i efektywne. W każdym razie w zwycięstwie tym rolę odegrały też doświadczenia polskie z kampanii libijskich



Fot. F. Maliniek

Gen. Anders przed pocztami szlendarowymi

nym sensie armia aliancka” (str. 358/9).

Zatem wkład Polski w zaciętych afrykańskich walkach nie został pominięty i — co bardzo ważne — leży on na dwu najwyższych punktach tej historii — w Tobruku i Gazali.

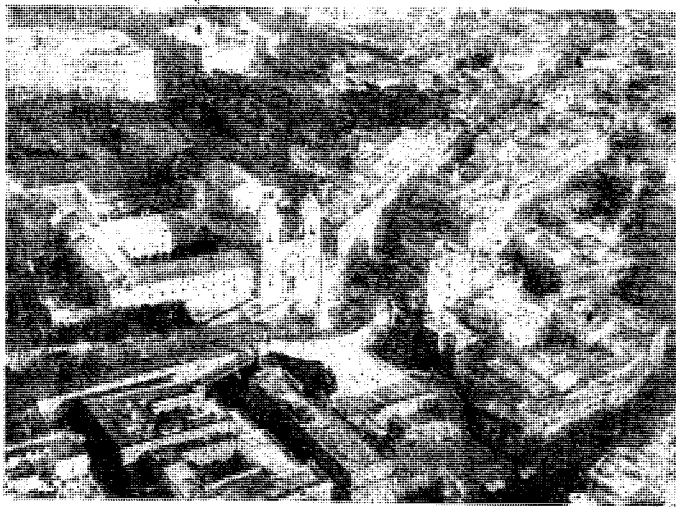
„Historia pustyni w lecie 1941 jest historią Tobruku” (str. 108) — zaczyna Clifford rozdział o „Szczurach Tobruku”. Kiedy pisarz angielski przybył do oblężonej twierdzy, nasunęły mu się następujące refleksje: „Wpadła mi myśl, żeby miejsce to pozostawić takim jak jest, trwałym muzeum i pamiętką wojny — jak tolekański Alkazar — poświęconym jednemu z największych oblężeń w historii

czas czterech Eojszych patroli i jedno większe natarcie Niemców. „Na zachodzie polska brygada czekała na sygnał do hucznego, efektownego manewru” (str. 169). Po przełamaniu pierścienia obrony polskie pancerne pod El Duda „po tygodniu ciężkiej walki nagle nie spotkały oporu” (str. 172).

Nastąpiła Gazala. „Silna straż tylna włoska, wzmożniona przez niemiecką piechotę i wspomaganą przez pozostałe czołgi, zajęła pozycje pod Gazalą w dobrze przygotowanym systemie obronnym, z betonowymi stanowiskami o głębokości 10 stóp dla dział i świetnie zorganizowanymi

Anglika zachwyca przede wszystkim wspaniałe tempo i precyzja natarcia. Nie podobna tu przytaczać całego opisu natarcia w ujęciu Clifforda, wystarczy tylko zcytować tytuł tego rozdziału: „Decyzja w Gazali”. Tak, bo w drugiej kampanii libijskiej decyzja zapadła w Gazali, a główną rolę w bitwie o Gazalę odegrali Polacy.

O tym trzeba pamiętać nawet dziś — po wielkim czynie pod Cassino. Nie dziwnego, że późniejszy upadek Tobruku Clifford przypisuje nieobecności „prawdziwych jego obrońców: Australijczyków i Polaków” (str. 275).



Fragment Rzymu widziany z samolotu

LWÓW

KULTURA MIASTA

I rzeczywiście zwożono do Lwowa skarby całego świata i płynął życiodajny polok złota jeszcze obficie niż dawniej — mimo o tyle trudniejszych na szlakach wschodnich srosunków. Jak wytłumaczyć to dziwne na pozór zjawisko? Oto przyczyny ogólne przewały nad niejścowymi. Nie tylko Lwów stał się starszy i bardziej rozwinięty, lecz cały świat właśnie wówczas pod ozywczym tchnieniem renesansu zrobił olbrzymi krok w postępie. Szczególnie sprzyjał ten styl rozwojowi i udogodnieniu świeckich gmachów. Zakres potrzeb życiowych rozszerzył się nadzwyczajnie. A że potrzeba jest matką wynalazków, więc i lwowian nauczyła łmacz przyszłości utrudniające rozwój handlu i przemysłu. Sali dźwigni kupcy każdy na własną rękę na Wschód — więc teraz łączyli się w zbrojne karawany, które jakby ruchoma twierdza albo obronny okręt przetrząsały kraje turckie aż do Stambułu. Był utrudniony przystęp do portów nadadunajnych — więc hodowano ryby w kraju dzierżwiąc sławy prawie na całej Rusi Czerwonej. Dużo, że nie znamy ani jednej takiej gałęzi handlu albo przemysłu, która by dawniej kwitła a podupadła w tej epoce — owsem, niektóre właśnie dopiero teraz do największego doszły rozwoju. Np. handel winem greckim, czyli małmazią i innymi winami południowych krajów, handel futrami; a z rzemiosł znowu złotnictwo i haćciarstwo tudzież gałą haciarstwa, namionictwo.

Kończąc ten rozdział o dobrobycie Lwowa w drugiej połowie XVI i pierwszej XVII w., nie możemy pominąć tego, co dobrobytowi daje dopiero pewien polor szlachetniejszy: tj. dzieł sztuki i książek. I w tym kierunku nie powyszli się Lwów ówczesny. Prawie każdy mieszczanin zamożniejszy w inwentarzu swojego testamentu zostawia pokazną ilość obrazów i książek. Rzadko się wprawdzie spotykamy z obrazami mistrzów włoskich, ale zato bardzo często z dziełami niderlandzkiej szkoły malarzkiej. Zostawiał Erazm Syxt obrazów kilkadziesiąt, tak samo Ormianin Mikołaj Bernatowicz i Orak Konstanty Męzapeta, Walerian Alembek nawet 102. Biblioteczka zaś domowa niejednego patrycjusza dochodziła do poważnej na owe czasy liczby kilkuset książek. Miał ich np. Erazm Syxt nie mniej jak 800, Bartolmiej Zimorowicz w akcie ostatniej woli nazwał bibliotekę swoją „sprzętem królewskim“, a dr Stanisław Dybowski, rajca lwowski, tak w testamentie swoim napisał poćcając pozostałą bibliotekę szczególniejszej pieczy spadkobierców: „Ruchome dobra moje różne są, a najprzedniejsze są drogim klejnotu uczciwości i powołania mego, księgi, na których się ja uczę, z woli i błogosławieństwa Pańskiego tym był, czym byłem“.

Rzecz naturalna, to poszanowanie książek, bo było u mieszczanstwa lwowskiego naówczas nie tylko dużo pieniędzy ale i wiele rozumu. Prawie każdy wybitniejszy kupiec był doktorzem filozofii, inny mieszczanin doktorzem prawa, inny doktorzem medycyny, a niejednym wszystkich trzech naraz wydziałów. Słuchaczk filozofii w Krakowie, medycyny w Padwie, prawa w Bolonii — to był ideał mło-

dego patrycjusza. Miał też Lwów, jak naówczas w Warszawie mówiono, „najmędrszą radę w Polsce“, miał sądy, do których się z zaufaniem udawali senatorowie a nawet panujący książęta, miał prawników zdolnych i lekarzy szeroko słynących, takich Oczków, Syxlów, Kampianów i Boimów. Nie brało także mętów światłych wśród duchowieństwa; imiona dwóch największych w Polsce kaznodziejów łączą się ściśle z naszym grodem. Tutaj w kościele N. P. Marii na Krakowskim Piotr Skarga pierwsze swoje wygłaszał natchnione kazania, tu się urodził i wychował Fabian Birkowski. Przebywał w naszym mieście także weale poważy zastęp uczonych. Głwy Jan Zamoyński zakładał akademię w Zamosciu, to ja urządził lwowianin Szymonowicz i kilku ze Lwowa meżów powołał na profesorów. Na zakończenie tego pięknego pocztu godzi się głosić w naszej literaturze poetów wymienić. Tutaj jeśli się Kł nowicza nie policzy,

Wierzę w Boga i Lwów!

*Serce wali jak młotem,
I znowu spi narak ów,
Gdy brzępi mozną bięłą
W słonecu się zbudzi Lwów,
Wolny — z powrotem!*

... A Tam pod Cytadelą
Leżeli chłopcy pokotem.
Prości i biali.

... Jak młotem serce wali —
Lecz jakże mówić o tym,
Na co dziś nie ma słów?!

Wierzę w Boga i Lwów!

Maryla Wolska

który więcej przebywał w Lublinie niż w Lwowie, to przostaną jeszcze imiona takie, jak ów przyjaciel Zamoyńskiego Szymonowicz, jak Szymon Zimorowicz i brat jego Józef Bartolmiej — znany zarzem jako naszego miasta pierwszy dziejopis.

Fryderyk Papée

(Z „Historii miasta Lwowa“.)

DYPLOM SZLACHECTWA

W czasach wielkich klęsk, jakie spadły na Rzeczpospolitą szlachecką, w czasach potopu wojen kozackich, tatarskich, szwedzkich i moskiewskich, lady szlachta i magnaci zdradzali państwo i króla, nie zawiodł pospolity tyk mieszczanski. Mieszczanie z małych miasteczek współzawodniczyli w wierności i ofiarności na cele państwowe z mieszczaninami miast większych, a wszędzie prostym, pospolity człowiek okazywał się patrio-tyczniejszy od możnego patrycjusza. Wśród wszystkich zaś miast w czasie tych wielkich nieszczęść miasto Lwów świećto przykładem, jego mieszczanom bez względu na różnicę wyznaniowc było dane zabłysnąć w oczach całej Rzeczpospolitej naj- piękniejszymi cnotami wierności i przywiązania do króla i państwa, cnotami ofiarności nadzwyczajnej na cele publiczne i jeszcze nadzwyczajnej tego mięstwa. Lwów stał się wówczas prawdziwą strażnicą warowną i bastją rubieży wschodnich, praw-

dziwym schroniskiem, „refugium“ i „receptaculum“ dla wszystkich nieszczęsnych rozbitek, którzy pragnęli rodziny swoje i swe mienie w bezpieczniejszym miejscu umieścić. Mieszczanin lwowski meżna swa pierśią swego miasta i całej Rzeczpospolitej ofiarne bronit, ku chwale zaś swojej, ku otusze serc zwatpiatych wytrwał i obronił.

Gdy w r. 1648 cała armia polska poszła w rozsypek, Lwów na swych murach wstrzymał pochód nieprzyjaciela, a w r. 1655, kiedy cała Polska znajdowała się w reku Szwedów lub Moskalt, kiedy nawet sam Kraków się poddał szwedzkim najeźdźcy, Lwów z honorem zdołał się ostać, pewną sumę okupu skłonił wojska moskiewskie i kozackie do odstąpienia obłężenia. Za takie czyny, za taką wierność i tyle ofiar złożonych dla ojczyzny, należała mu się chyba wdzięczność ze strony króla i całego narodu. Kiedy więc po wypędzeniu wojsk Rakociego w r. 1658 zabrał się sejm w Warszawie, natychmiast zajął się obmyśleniem nagrody dla bohater- skiego miasta, które „jak niezmorna skała opiera się najazdom i ukrytej zdradzie“. Nagroda godna była zasługi. Wszystkie trzy nacje zarówno się zasłużyły, wszystkie też na równi traktuje przywił. Pod dnem 8 sierpnia, na skutek odpowiedniej uchwały sejmu, został wydany dla Lwowa dyplom szlachectwa, równający go w przywiłkach i prerogatywach szlacheckich z Krakowem i Wilnem pozwalając, „aby obywatel Lwowa po wieczne czasy uczestniczył w elekcji królów przez dwóch członków rady i elekcję każdą podpisywali. Wolno im będzie nabywać dobra ziemskie tak prawem dziedziczą, jak prawem zastawu, i to po wszystkich miejscach, przy zachowaniu jednak wszystkich ciężarów Rzeczypospolitej. Na sejmach miejsce i głos mieć będą oraz przyspuszczać się ich do całow- nia re-i królewskiej na sejmach razem z innymi posłami ziemskimi, tak samo jak i do rozdrownienia króla. I wszystkie inne przywiłki tutaj nie wymienione również z obywatelami Krakowa i Wilna mieć będą“. Przy- wił ten, jak się mówiło, miał przysłu- giwać wszystkim mieszczanom lwowskim bez względu na wyznanie. Czytamy w nim: „Pragniemy miasto Lwów i jego obywateli, podległych nam i Rzeczypospolitej, wyznania katolickiego, ormiańskiego i greckiego... nowym obdarzyć zaszczytem, ażeby przykład wspomnienia godnej cnoty i innym miastom przyswiecał. I dla- tego też ich bez żadnej różnicy wyznania chrześcijańskiego utrzymujemy przy wszystkich nadanych im przez naszych przodków prawach i przy- wiłkach, a ponadto ich wszystkich wraz z całym potomstwem i całe miasto zrównujemy z mieszkaniami Krakowa i Wilna i ich prerogatywami, o ile się odnoszą do praw i tytu- łów szlacheckich“.

Manifest żołnierski

*Ktoś nam ułoty pieśń — Ktoś nas wspomni na powrót,
A może nawet i wstanie współzestęciem,
Ze szliśmy na śmierć — w bój — i nocie bezsanne.
Ale nie tego nam trzeba,
— Wrócić!*

*Mamy swój rozkład dróg — idę nimi bez przeryw
— I drogowskazy: krzyżki przy drogach —
Historję bez słów — tędy pójdę napierając. —
Nie zatrzymujcie. — Nie stanę.
Nie mogr...*

*Wszystkim tu szukam praw — będy walczył dla kogos
Słwy wystarczy... na drogę mi nie brak.
Do Polski — do miast — dojdę; na własnych nogach
dojdę na pewno — bez wody
— bez chleba.*

*Nie ten żołnierski chleb, co nam rano wyjada:
Codziennie biały — i codziennie brzości.
Lecz bielej niż śnieg — w starej mawie, zwyciężaju
— w domu, wśród swoich — w słonecznej
polewce!*

*Piszę wam o tym wiersz — rzucam na wiatr nadzieje.
Za moje życie — nadziei nie ma trza,
— ju swoje wam dam — i krew swój przeleję
za mojej kawałek ziemi
— powietrza.*

Józef Żywina

NAJWIERNIEJSZE — NAJWALECNIEJSZE

Nic dziwnego, że każdy lwowczyk horyzont swojej osobistej ambicji zamykał murami rodzinnego, ukochanego miasta, chyba powiodło mu się osiągnąć w innym znacym mieście polskim, dajcym te same prawa i korzyści, co Lwów, w Krakowie, w Wilnie, w Warszawie, co często się zdarzało. Rodzinne miasto dać mu mogło to, czego by gdzieindziej daremnie szukał, dać mu mogło chleb, urząd, władzę i sławę, wynieść go mogło, jak się wyraża lwowski patrycjusz Paweł Dominik Hepner w swoim te- stamencie: „ex stercore et collocare cum principibus populi sui.“) Toteż wszyscy młodzieńcy lwowscy wysła- ni na studia w świat szeroki, przebiegłszy sporą przestrzeń Europy, spędzili lat kilka w Parwzu, w Bolonii, w Rzymie, tacy Kampianowie Domagalice, Boimowie, Majernicy itp., wracając z radością do rodzinnego miasta, bez tęsknoty za wspania- łością cudzoziemskiego świata. Przy- chodziło do tego, że w oczach lwow- skiego mieszczanstwa jeszcze w pier- waziej połowie XVII w. — bo już za- wzięci byli wyżej, jak później upa- dło zadowolenie z własnego stanu —

Lwów przybiera pozory jakiegoś cał- kiem samostnego, niemal udzielnego organizmu, jakby był kupiecką repu- bliką włoską, Wenecją lub Genuą, jak- by prukonul czyli burmistrz był rzą- dzącym księciem i hetmanem, rajco- wie — senatem. W przemieniach publicznych, w uroczystych wstę- pach do aktów i testamntów, Lwów nazywa się Rzeczpospolitą. Spotyka się często wzmianki o poświęceniu, o zasługach dla „tej Rzeczpospolitej lwowskiej“, nawet na wzór owych sławnych czterech liter starożytnego Rzymu S.P.Q.R. wykuwa Lwów na swoich pomnikach, jak np. na lwie lorenowiczowskim, litery S.P.Q.L. (Senatus Populus Que Leopoliensis!**) Były to przywłaszczenia i iluzje, wspólne zresztą z Krakowem i innymi wielkimi miastami, ale iluzje nie tak śmieszne w szczęśliwej epoce, do końca XVI w. jeszcze, kiedy Lwów posiadał udziałną do pewnego stopnia autonomię i jurysdykcję, kiedy bur- mistrz był hetmanem zbrojnej ludno- ści i nie na żart miał prawo meżności, kiedy konsultowic nie na darmo nazywali się „panami“, kiedy każdy mieszczanin nie dla ozdoby nosił miecz przy boku i nie dla zabawki był żołnierzem, kiedy Lwów miał ca- ły park artylerii i utrzymywał na za- dnie swoim miłicję w barwie pod chorągwią z rotmistrzem „doświad- czonym, serdecznym i roztropnym“, jak się wyraża jeszcze w r. 1623 w swojej wojskowej ordynacji burmistrz Melchior Wolfowicz. Wtedy ratusz, „praetorium“, po którym do naszych czasów dotrwały tylko okrychy lwów i herbów i niedostateczny rysunek, był kapitołem lwowianina i wieżą swoją dumnie patrzył na zamek lwowskie- go starosty. Zwykle Lwów nazywa się „ojczyzną“ w aktach publicznych i prywatnych, „patria ipsa vila carior“,***) jak się wyraża Marcin Kampian — i długo też, aż do ostatecznego swe-

go upadku, jest dla mieszczanina oj- czynną, Rzeczpospolitą, światem całym. Patriotyzm ten lokalny, tak typowy prozopolej, tak wyłączny i egoisty- czny na pozór, nie wykluczał weale patriotyzmu polskiego. Łatwo powie- dzieć, że odpiągając walecznie obłęż- nia, ponosząc ciężkie ofiary w krwi i mieniu, Lwów ratował tylko siebie, ratując siebie ratował państwo. W tym nieszczęsnym ćwierćwieczu, od r. 1648 do 1672, w którym Lwów zniszczał od obłęż, kontrybucji, łupieży, cała Polska oddawała hołd męstwu i ofiarności lwowskiego mieszczan- stwa; dla całosci państwowej, której był warownym węzłem, dla polskości i jej ideai cywilizacyjnej, której był przednią strażą i ogniskiem, Lwów poświęcił niepożycie zasługi i żadnej za to od Rzeczypospolitej nie miał wdzięczno- ści, żadnej nie wziął zapłaty, prócz sławy najwierniejszego i najwalecz- niejszego z miast polskich.

Władysław Łoziński

(Z książki „Patriotyzm i mieszczanstwo polskie w XVI i XVII wieku“.)

*) momentow osobistych.

Jan Płańnik

(Z książki „Miasta i mieszczanstwo w dawniej Polsce“.)



Wozów Inferno



Zdymienie staroziszc

*) Z pnia i miejsca, wraz z pierwszymi swego ludu.
**) Senat i lud Lwowa
***) Ojczyzna droższa nad życie.

E. F. SZCZEPANIK

PEŁNIA ARTYLERII

Szeroki liść drzewa figowego pogłaszał czupryny bliźniaków Trocchio i Porchio i wykiął ostro czubata piramidę Cairo. Zadrzał. Może go dobiegło stokrotnie powtórzono przez wkurzyło echo osłowiacko, a może skurczył się trafiony z dwóch stron tą samą melodią: Lili Martlen. Pięść, zrodzona w nieprawym kierunku wojny, wina i księżycu...

Oderwał usta od wina i zerknął na księżyc. Zaokrąglił mocno swój brzuszek, ale jeszcze nie miał idealnego kształtu koła. Czekał, by nabzmieć.

I myśmy czekali na pełnię. W teckach, na deskach rozdzielczych, w skrzyniach i na gwóźdźkach z łapkami pęcniatki już od dawna stósły instrukcji, rozkazów, planów. Pół powstał w myślach dowódców dawno już temu, w miesiącu z charakterystyczną granatną wieżą, którego nazwa „Vinchiatoro” od początku sugerowała dobrą wróżbę zwycięstwa. Iżmienie wypadki generala po wiecznym pogodnym obliczu świadczyły, że zanosi się na coś poważniejszego. Później, w miesiącu „Spiewającego Wilka” zaczęły napływać pierwsze pisma z zagadkowym nagłówkiem: „...”. Przypomniały się czasy pastewskich ćwiczeń „Narcyzowych”, „Wyjąłowych” i „Dziewiętych”. Praca zaczęła iść po linii dobrze już utartej rutyny. Tylko ilość energii wkładanej w pracę zwiększyła się niepomniernie.

Przekos od ćwiczenia do praktyki wojennej był bardzo niewielki. Pręciwny artylerzysta powiadałby, że właściwie nic nie było dla nas nowością. Wszystko szło według „szmyla”: zadanie — plan działania — rozpoznanie — zajęcie stanowisk i p.o. — wstrzelanie — plan ogni — koordynacja — i wykonanie. No i ogień. To chyba wszystko. Chcieć wiedzieć więcej? Proszę, zobaczcie zryte pociskami S. Angelo, rozprute wnętrzem Klastor. Albo popatrzcie na podziurawiony pinzami i twardym olówkiem H 4 papier na stoliku topograficznym w dyonowej centrali strzelniczej.

Abym „...” nie był „Stinker”, dca Armii zadecydował, że w walce o piekielny klastorz przepożeczone organy będą dudniły. Nasz generał (człowiek o wiecznym pogodnym obliczu...) został głównym organistą. Miał piszczałki i basy. Miał takie, co ogniem w niebo zryły i takie, co mury kruszyły w proch. Setki rur wszelkiego kalibru. Planowanie polegało właściwie na negocjowaniu tych rur, zamontowaniu ich we właściwym miejscu, utworzeniu grup. Podorganistów dla każdej grupy trzeba było wyznaczyć. I każdy z nich musiał omówić ze swoim piechociarzem swoją partię. Dwa motory za sadnicę: dca Korpusu i dca artylerii Korpusu poruszaly sprzężone zębale koła dwóch i dców AD, te zdów przenosiły ruch na zdów brygad i pułków. Obracać się zaczęły harmonijnie dyony i bataliony, baterie i kompanie, cały czas artylerzysta i piechur obok siebie w sko irdynowanym wysiłku. Tak zmontowana maszyna zaczęła działać na długo przedtem, niż pierwszy liść figowy począł głaszać do snu nieopierzony głowicy bliźniaków Trocchio i Porchio.

Na drutach, przez osrodki łączności i poprzez czter szły jak na pasie transmisyjnym od góry w dół plany i rozkazy sięgające warkoczących kółteczek najniższych, które odrabiali swąją część i podrucały całej stós zdów do góry celem uzgodnienia. I jeszcze raz ten sam proces. Po raz drugi, trzeci, czwarty, niezliczona ilość ruchów skoordynowanych całej maszyny, aż do ostatecznego wyzycelowania wszelkich szeregów. By grało pełn, symfonią artylerii.

Wszystkich musiata chwycić w obroty coraz pełniej dyszcząca maszyna. Poszedł zdów w góry kanonier z pomiarówki trzymając garść sygnałów topograficznych i przyszydaj mikrometrę pod pachą. Zalaży się i począł ją ciągnąć w dół, zarzucając ją ponad punkty obserwacyjne, ponad cele, które nieraz swężył nat ogniem, gdy promień, odbity o szneczki futy, za mocno im dopiekł. Zawzięty pomiarowiec wciął go i zemiścił się trując, e garść cwił, odczytanych na białej linijce suwaka swoim kolegom, zwiadowcom z pałów i paców. Pótem pomiarowiec usadowił się na swoich bazach wzrokowych i dzwię-

kowych, zwiadowca zaś począł przemierzać góry i jury. Ustawił katometrze i stolniki. Znalazł teren na stan wiska ognia. Zużyłony siadł, popatrzał na kurlącą się piaskiem i pociśkami drogę Inferno. Zmrużył oczy. Zasnął.

Zbudził go cichy szmar opoin, gnionych ciężarem 25-funtówek. Nie było nie widac prócz szabliku żarzącego się papierosa oficera ogniowego. Działonowi od niego odpalali i zjazd odbył się na światelka od papierosów. Rankiem kanonierzy z czerwonymi, czarnymi, żółtymi i pomarańczowymi wypustkami okopywali już pieczołowicie swoje kochanki — armaty. Poszedł zwiadowca tam w jamie założyc centralę strzelniczą. Stamtąd wyszedł poranny „melsyt”: „W nocy z n/n zapalił się carrier. Zabity porucznik M. i dwóch kanonierów. Trzech rannych”. Gdzieś w centrali korpusej dogonił go na tasmie transmisyjnej drugi „melsyt” o dzieło, co wpadło w przepaść.

W ciągu kilku nocy stanęły setki armat na stanowiskach. Na punktach obserwacyjnych zajęli obserwatorzy. Rozwinęto pół tysiąca mil kabla. Zwieziono dziesiątki tysięcy pocisków. Cała maszyna przybiera coraz bardziej monumentalne kształty. Zda się sięgać niebios. Lecz księżyc jeszcze nie rozchylił pełni. Trzeba czekać.

Czekanie — to trudny okres dla Polaka. Niemcy czując, że coś się święci, próbują macać. Wypadają patroli usiłują zakostnować smaku krwi polskiego piechura. Artylerzysta Stela klądzie im przed noszem z góry przylgotowany ogień zapowory. Samotny pocisk rozpryskując szuka mp naszych dowódców lub stanowisk ogniowych. Czujny pomiarowiec artylerystki już go wykrył, wyliczył współrzędne. Na czarnej tablicy zdobyw zwalczania artylerii powyższy telefonczy wpisał „H7823”. Działanie w swoim czasie. Na razie strzelac trzeba jak najmniej. Nie wolno zdradzać stanowisk. Czasami jednak nie można wytrzymać. Piechota żąda ognia obronnego. Niemcy wówczas też mierzą i liczą i nie czekając wala ogień odwetowy. Sypie się grad pocisków na Ludowski pał. Coraz trudniej usiedzieć na stanowiskach. Wileński pał skarzy się, że nieprzyjacieli ma ich pod obserwacją jak na dłoni. Martwi się siwy generał. Kołace o amunicję bezbyskowno. Trzeba wytrzymać. Już niedługo. Jeszcze trzeba wstrzelac te rogi zapory, kilka tamtych „stónków”, kilkadziesiąt owych „murderów”. Jeszcze podkopac kilka stanowisk, by stromy-

wbięte aż po deskę pinzey. Działonowi jeszcze studio-wali otrzymane arkusze komend, żeby je wtłoczył sobie w pamięć. I na nich musiał jednak spłynąć błogi spokój, wiejący gdzieś hen, z wierz Armii.

Było tak cicho owego wieczoru, że wielu ludzom wydawało się to mocno podejrzane. A nuż Niemcy zamierzali, co się szykuje i wywiad? Zatrószali się super-organistą i generał i postanowili wypróbować swych miechów. „Ta postzelajcie trochę” — rzucił rozkaz krótki do Grupy. „It seems to me — można nieco przostarsze Bzszów” — rzekł przez telefon artylerystom angielskim. Już strzelają. Idzie urwany ogień nekający dla zmylenia uwagi przeciwnika.

in. Godzin i dni już się nie liczyło. To była nieustająca dla Niemców godzina „H”, godzina zemsty.

Ny szczerbiono strasliwie niemiecka dywizja Fallschirmjäger, ale jej w pierwszym natarciu nie zlamano. Jeszcze jeden wysiłek równie wielki trzeba było wykonać za kilka dni. Zdów plany, rozkazy, oleaty. „Concussion” i „Stonki” i „Murder”. Zdów straty na stanowiskach ogniowych, ostrzelanych przez otrząśniętą z pierwszego oszołomienia artylerię niemiecką. Zdów bezsenne noce na punktach obserwacyjnych wśród walących się gruzów ze ścian schronów, wśród okropnego zapachu trupów. Rannych i zabitych zastępują nowi, byle maszyna artylerystka działała jak naj-



Klastorz na Monte Cassino w dniu wejścia polskich oddziałów

Wszystko gotowe. Jak przed uwerturną zaczyna się strojenie. To radiostacje przesyłają sobie wzajemnie tony. Telefony z nastrojonymi brzęczykami czekają czujnie. Jeden zadzwiecał jak kwik. Podnoszę słuchawkę: „Rozbił się samolot obserwacyjny artylerii. Pilot i obserwator ranni”. Bad luck... Sirasznie przykro, ale cóż — to tylko epizod. Zszły przed rozpoczęciem koncertu. Parę na mapę: cały łukowy fałeczek górski od Terelle po Cassino poruszony jest fotelowymi kreskami. Każda kreska to przynajmniej 72 pociski. Kreszek takich jest kilkadziesiąt. Każdą może być powtórzona niezliczona ilość razy. Wystarczy tylko powiedzieć trzy cyfry, a otworzy się huragan ognia. Niżej na mapie biegać wkrósł rzeki Rapido równe, startarowe baraze Anglików. Obie plany ogni jaskrawo kontrastują ze sobą. Mimowolnie nasuwa się myśl, jak bardzo plany te podkreślają różnicę charakterów i dróg, po jakich nasze na niedy kroczą. Dla Anglików równa, po niej flegmatyczny Anglik będzie posuwać się systematycznym walcem niszczącego ognia. Droga nasza — skalistą i heroiczną.

sprawniej. Na skonanych barkach znosi się zdów stós amunicji do ostatecznej rozgrywki.

O świcie 17 maja jeszcze raz zagraly monstrualne organy. Tym razem było to requiem żołnierza niemieckiego, straszliwy marsz żałobny dla wyborowych spadochroniarzy. Na stanowiskach ogniowych pekają lufy, zabijając i raniąc szeregowych. Główni obserwatorzy i łącznościowcy artylerysty, pracujący pod ogniem niemieckim. Inni idą naprzód. Nigdy ich nie brak. Rąbią po bunkrach niemieckich, po działach, co możeżierzach, po drogach, którymi Niemcy próbują wycofywać się. Dwie brytyjskie i jedna kanadyjska grupa artylerii zasila ją byskawicznie swoim ogniem nasze działania. Musi być zwycięstwo. Na zagrożonym odcinku Niemców i pa la ranny. To przykadły indywidualnego bohaterstwa artylerystów. Nie o nie jednak chodziło. Choż było o ten obrzmił skoordynowany wysiłek zespołowy artylerii Korpusu jako całości, który musiał rozstrzygnąć o zwycięstwie.

Szalenie drogo jednak kazaly sobie płacić obu stronom skalistę górę Cassino za możność deptania po ich twardych szczytach. Butna grzywa 593 mówila: „Nie wżemnie mnie!” Wec ją ści to granatami kilkusset dział. Złowrogii jar możłizerzy szczełak: „Nie puszczę!” Wec zasypano go leccymni ze szczytów gładzi, zrzuconymi z odwiecznych posad przez polską artylerię. Na drobny żwir sytuoczono kamienne łysyny walu górskiego otaczającego „Klastorz, za to, że dał schronienie pruskim spadochroniarzom. W lasku klastorzymym zapadły „zielone diabły”. I tam ich dosięgł nieubлагany ogień artylerii. Ściął liście. Zrąbał konary. Wywalił pnie. Aż pocerzy sterceć jak spruchniałe zęby trupie, straszne i ohydne w swej nagosci.

Artylerzysta wysunął lornetkę i ochryplym głosem rzucił jak zaklęcie trzy cyfry. Polczył sekundę, spojrzal: spadał karczka nawała na niegłysz benzyktyjskie mury. O kilkadziesiąt metrów dalej inne usta wyczępły do stuchawki inne mgieźny cyfry. Pruskieleży pociski kark 575. Za nimi drugi, trzeci, czwarty, piaty. Nie kończący się łańcuch komeł. I nie kończący się nawiły ogniowe, przechodzące byskawicznie od przodu w głę-

bi od głębi w przód, wkrós całego masywu górskiego. Każda nawała — to herkulowe uderzenie niezmiernowalnych, gigantycznych oskarzków i kilofów, miażzących kamień i czażki, łupiących mury i kości. Musialy ustąpić jedne i drugie. Uległ gładz lenawistw i Niemiec zwalęły.

Nunajstn jeszcze artylerzysta ogniem na mrującą baterię z Atina i Belmonte. Rzucił grad pocisków na zachód, gdzieś na Roccasce czy Castriello. Trzeba by ciągle czujnym. Leżący obok telefonista szarpnął go za ramię: „Patrz, flaga na Klastorze!”

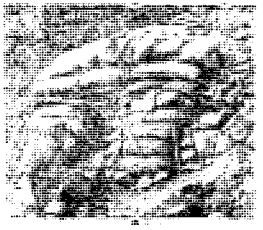
Rzeczywiście. Już nie ma Niemców na przedpółu. Flaga powiewa — to znaczy zwycięstwo. A no — widac Szwabcy nie wytrzymali. Ne mogły. Wiec zadanie wykonane. Zamknięto się ostatnie ognio „szmyla”: plan działania — rozpoznanie i rozwinięcie — plan ogni — wstrzelanie. Tylko ten symel był tak okropny...

Nazajtrż dca Korpusu stwierdził krótko: „Bóg wojny, jak zwykliśmy nazywać artylerię, stał na takim poziomie, na jakim wszyscy chcieliśmy ją widzieć!”

Bóg wojny nie spoczął jednak na zdobytých laurach. Przerucił niemal natychmiast po zakończeniu decydującej bitwy jeden z pułków lekkich do wsparcia grupy walczącej o Piedimonte. Z otwartych stanowisk trzeba było pod gradem pocisków niemieckich wspierać bohaterko walczącą broń pancerna.

Pokazalo się, że Niemcy zrobili z Piedimonte zawiasy systemu ob-nnego linii Hitlera. Urzadzili stalowe pillboksy. Ustawili działa pod wieżyczkami czolgow, na żelaznych płytach. Znalazł się i na to sposob. Poszly do roboty „pepance”, wciągając do akcji wspaniale 3 calówki, które przebijaly niemieckie pancerce, stalowe płyty i pomi-zczyły uparte działa niemieckie. W ogniu pomocnych „Panther”, ranionych śmiertelnie pociskami oporu artylerii, topniały reszki oporu niemieckiego w fortecy Piedimonte, która była jedną z kluczowych pozycji linii Hitlera.

Obraz epopei nie byłby pełny, gdyby go nie uzupełnił harmonijny akordem współpracy polsko-kanadyjskiej. Po złamaniu obrony niemieckiej na kompleksie Monte Cassino główny wysiłek VIII Armii spał na barki korpusu kanadyjskiego. Nam przypadła w udziale rola wsparcia ogniem artylerii działania Kanadyjczków. Zdów trzeba było zwycięż konstrukować plany ogni, zwać amunicję, zapęnić cyframi długie arkusze rachunków artylerystkich. Zdów kanonier krecił się jak szatan wokolo paszcz armatnich, lejących chmurą ognia na pozycje niemieckie, pod które podchożła kanadyjska piechota i broń pancerna.

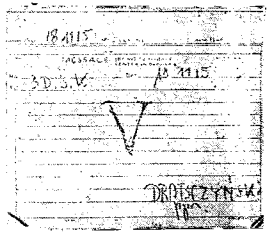


Schrony Zabruów

mi katami można było zwalczac niemieckie możłizerzy i „nebelwerfer”. Czekać. Przecież czekaliscie pięć lat bez mała na te chwile. Cóż znaczy kilka noce?

Worawiona w ruch od szeregu miesięcy maszyna pracuje cala para. Ida w świat dwujęzyczne rozkazy działania, operacyjne, bojowe. Szleszcze starannie zwinięte oleaty, pietro się zawrotnymi cyframi plany ogni. Rozchodzą się po stabach pod nawięskami tajemnicza awizo: dzień „D” — 11 maja, godzina „H” — godzina 23.00. To znak, że góra już jest całkiem przycelowana. Od górn stojonow przenika w dół atmosfera dziwnego spokoju, wyczenia, które tylko z przyslywowaną ciszą przed burzą można porównac.

W centralach strzelniczych dyonów rozpracowywano wtedy ostatnie kartki dla działonowych. Jeszcze rachmistrze suwali metalowym łukiem w koto



Meldunek o zajeciu klastorui przez stany gotyhem do dey D. S. K.

Ogzeń ten wybitnie przyczynił się do uspokojenia artylerii niemieckiej na prawym skrzydle nacierającego sprzymierzeńca. Ale to działanie nie dawalo już takiej emocji, jak pamiętne dni walki o wzgórze Cassino. Wtedy się czuło, że każdy strzał, każdy rachunek i każdy telefon decydowały o życiu brata — piechura. Artylerysty stawali się dać z siebie wszystko. Gdy doszło do potrzeby wykonania ostatecznego wysiłku w natarciu na Angieloch, posli razem z piechotą, obok kierowicy, artylerzyści z pułków przeciwanonnych, kanonierzy z przeliczki. Wsiłek był zdony do maksimum. Wsiłek był naprawdę pełnią artylerystki. Pełnią krwi, ale i pełnią radosci. Teżo się nie zapomni. I nie zapomni chyba tych dni skalistą Italia. Wzrę fity będą o nich opowiadac stare młodym bliźniaczynom karcetkom: Trocchio i Porchio...

ZYGMUNT MARKIEWICZ

O PLINIUSZACH I WEZUVIUSZU

PRZEGLĄD PRASY

Rosja w Europie czy poza Europą

Londyński tygodnik "Picture Post" zamieścił w tej sprawie dwa artykuły: pierwszy nam redaktora "Nineteenth Century" Voigta i redaktora "Picture Post" Ch. Fenbygo. Pierwszy wyowiada się zdecydowanie za utrzymaniem Rosji poza Europą, drugi zwalcza tę tezę energicznie. Argumentacja Voigta tak jest nam bliska i tak wiecie ma analogii z naszą, że ograniczymy się do powtórzenia tylko kilku ważnych o wytyśnięciu — pisze Voigt — musimy walczyć o siebie samych... Bez Europy nie będziemy mieli pokoi, wolności ani dobrobytu... Bez Europy nie może być Anglii. Nieustawo było koalicja państw, które będą opierały na kontynencie, będą mogły opierać na wyspach brytyjskich... Voigt zaręcza, uważa, że po wojnie możliwy jest sojusz zarówno Francji, jak i Rosji z Niemcami i że każda z tych koalicji wystarczy, by zagrozić istnieniu Anglii. "Józ dziś jest rzeczą jasną, że Rosja dąży do opanowania wschodniej Europy od Arktyki po M. Egejskie... Jeżeli świeżo zawarty traktat rosyjsko-jużowski nie pozostałby w wykonaniu, to Czechosłowacja stanie się częścią rosyjskiego obszaru gospodarczego, a tym samym będzie stracona dla Europy, ponieważ Rosja prowadzi gospodarkę zamkniętą... Jeżeli Tito będzie rządził w Jugosławii, "Serbia — najsiłniejszy zespół narodowy w płd.-wsch. Europie — rozpadnie się; plan Tito dotyczący federacyjnego podziału Jugosławii nie pozostałby pod tym względem żadnym wątpliwością, a wtedy Rosja stanie się panią Bałkanów".

Czy Anglia może coś zrobić przeciwko temu? — zapytuje Voigt. Anglia tak samo nie może wdać się w spory z Rosją, jak Rosja z Anglią. Bez pomocy Rosji Anglia nie wygra wojny, ale bez pomocy Anglii i amerykańskiej zwycięstwa sowieckie byłby nieuniknione. Bez zwyciężki angielskiej i amerykańskiej Arma Czerwona nie miałaby doświadczenia. Jest to więc zależność wzajemna, a nie jednostronna tylko — jak sądzą niektórzy. Toteż Anglii winniż warunki tej zależności. "Kto jest panem Europy wschodniej, może stać się panem Europy. Kto staje się panem Bałkanów, jest panem wschodniej części M. Śródziemnego i wobec tego może kontrolować drogi morskie, żywność dla handlu angielskiego i dla utrzymania imperium Brytyjskiego." Podczas kiedy "dla Anglii cała Europa jest niezbędna (vital), dla Rosji Europa nie jest niezbędna." Dlatego Rosja nie powinna sobie robić wrogów w Europie. Po klęsce Niemiec Rosja będzie jedynym państwem w Starym świecie, o całkowite zapewnienie bezpieczeństwa — pod warunkiem, że będzie miała przetrzymanych sąsiadów. "Największym i najbardziej niepotrzebnym błędem, jaki mogłaby popełnić, byłoby uczynienie sobie wroga z Europy." Natomiast Anglii nikt się w Europie nie boi, co więcej, "nawet wrogi jej zwyciężają, więc jest marzeniem, które nie tylko przegranych zwyciężają, ale żyją nadzieją, że Anglia stanie się, produkującym mocarstwem w Europie."

Fenby natomiast stwierdza w swoim artykule, że Rosjanie — inaczej niż Voigt — sądzą, że "niektóre części Europy są niezbędne dla nich". Fenby powołuje się na członka rządu Benesa, p. Ripke, który powiedział w listopadzie ub.r. że "blok społeczno-europejski, skierowany przeciwko Rosji, zbierający jednako narody niedoczynionych, odebrały całej wojnie sens i wypełniły Rosję w ramiona Niemiec". Fenby polemizuje z zasadą "rownowagi sił", wysuwaną przez Voigta i uważa, że aby móc "balansować" siły kontynentalne, Anglia musiałaby być największą potęgą przemysłową, musiałaby być niezawisłą militarnie, musiałaby mieć niewątpliwą przewagę nad Rosją (i to bez pomocy amerykańskich stoczni), a wreszcie musiałaby móc pozostawać neutralną. Fenby twierdzi, że Anglia nie odpowiada dziś żadnemu z tych warunków.

Fenby uważa opinie Voigta za zamach na próbę odbudowy systemu Ligi Narodów, który "zapewnił Rosji jedną sposobność wywierania wpływu na sprawę europejską". Fenby przewiduje, że w r. 1970 Rosja będzie miała 270 milionów ludności, więcej niż cała zachodnia, środkowa i północna Europa razem wzięta; "będzie ona (Rosja) scentralizowanym państwem, zdolnym działać z szybkością, na jaką nie będą mogły sobie pozwolić żadne serie aliansów ani żadna federacja — i zapewne będzie ona patrzyła na Europę odbudowaną w myśl idei Voigta z wyjątkiem podziurów (i to bez pomocy amerykańskich stoczni), a wreszcie Rosja — jest oporną (obsesję) ideą bezpieczeństwa; zupełnie widocznie stara się ona stworzyć na swojej zachodniej granicy pas (ordon) s i a b y c h

pań siw (podkr. nasze-red.), za którym mogłaby ukryć się i poświęcić wszystkie swoje energie odbudowie i rozwojowi własnego kraju... Rosja nigdy nie zrezygnuje z ziem europejskich, które uważa za niezbędne dla siebie i w ten sposób nigdy nie znikną ogniska nieustannych konfliktów."

Lech także postawił Rosji mogłaby przybrać charakter izolacjonizmu tylko, gdyby inne mocarstwa nie zgodziły się na rosyjskie wymogi bezpieczeństwa. A izolacjonizm Rosji doprowadziłby do podziału świata na wielkie bloki państw i do nowego wojny. Trzeba — jak sędzi Fenby — stworzyć międzynarodową organizację, w której udział Rosji stałoby się zadaniem i dzięki której pokoj światowy byłby zapewniony.

Mamy prawo zapytać się, czy p. Fenby istotnie uważa swój artykuł za obronę polityki sowieckiej?

Orlemański-Wallenrod

W dn. 22 maja radio moskiewskie zacytowało szereg — przeważnie nieznaną — dzienników amerykańskich, które wyprzedziały się na temat "misji Orlemańskiego". "Bostonian" "Christian Science Monitor" krytykuje wiadomości Orlemańskiego w jego funkcjach duchownych i nazwało to "utrudnieniem współpracy sprzymierzonych." "Katolicy — pisze dziennik — współpracują z komunistami w jugosłowiańskim ruchu partyzanckim, w francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego i w Polsce (r. red.)." "Chicago Sun" uważa, że "Stalin szerzy życie sobie zbliżenia z Watykanem". "Western News Agency" oświadcza, że "koła katolickie w USA... myślą się, jeżeli sądzi, że pomagają katolizacji w Polsce opierając się ustanowieniu powszechnego porozumienia ze Związkiem Sowieckim." Zdaniem tego pisma, Watykan "pozwier obecnie zdecydować, czy pragnie współpracować ze Związkiem Sowieckim czy nie lub też czy zamierza zająć wobec niego postawę coraz bardziej wroga. Watykan nie może uniknąć tego dylematu, bo musi zrozumieć, że Związek Sowiecki nie może zniszczyć."

Rozumiejąc teraz, jakie znaczenie Moskwa pragnie nadać "misji Orlemańskiego" — a jak on sam ją rozumie? Odpowiedzi znajdujemy w wywiadzie, którego udzielił prasie. Cytujemy za Reutersem, który 14 maja podał depeszę ze Springfield następującej treści: "Polski ksiądz, sympatyk Sowieckim, Stanisław Orlemański, zwrócił się z protestem do delegata papieskiego w związku z pozabawieniem go praw kapłańskich. Na konferencji dziennikarskiej Orlemański powiedział: "Udałem się do Moskwy, aby zobaczyć, co można uczynić na rzecz Kościoła katolickiego na Ukrainie i Białorusi. Zostałem jednak utarczony ze względu na odmowę zgodzić się na rzecz mojego Kościoła. Jeżeli marsz, Stalin dawał się, jak postąpiono ze mną — wycofa się i stracimy to, cośmy osiągnęli." Orlemański pokazał dziennikarzom — brzmiał depesza Reutersa — zaświadczenie, pisane na maszynie, a podpisane przez Stalina, które — jak twierdzi — może stanowić podstawę "dla naszej umowy w sprawie wolności religijnej w Rosji." "Stalin — mówi dalej, ksiądz — pragnie ogłoszenia umowy, ale czeka na uprzednie porozumienie się Orlemańskiego z Papieżem."

"Post Dispatch", cytowany przez radię moskiewską, pisze: "Niektórzy żądają, że Sowiety zastosowały metodę pośrednią usiłując nawrócić stosunki z Kościołem katolickim za pośrednictwem Orlemańskiego. Dyplomacja sowiecka wszakże — zapewne na skutek długotrwałej wrogości postawy świata zachodniego wobec Sowieckim — często stosuje niezwykle skłótny dyplomacyczny." "Post Dispatch" wyraża się ogólnie. Nie możemy powstrzymać się od zapytania, czy w Sowieckim istnieć wymarzi już wszyscy prawdziwi dyplomaci, którzy przecięt jeszcze dwadziścia lat temu tak wielkie swoje krajowi umieli oddawać usługi — bez uciekania się do "niezwykłych środków dyplomacycznych" — bez korzystania z usług takich dziwnych amatorów, jak Orlemański?"

(m. 1.)

Admirał pozostaje w ten sposób cały dzień, od czasu do czasu przyjeżdżają do i obserwuje. Z całej świąt zostało tylko dwa niewolników, reszta ratuje się ucieczką. Pliniusz czuje się coraz słabiej. Siarka, która przesycona jest powietrzem, uniemożliwia oddychanie. Kłęby dymu z popiołem duszą wreszcie starca i Pliniusz umiera na posterunku obserwując zjawisko, które mu podobnego nie widział nigdy.

Wiadrogodny opis tej śmierci, zstępującej na podwójne słowki i obraz wypadków, które się rozgrywały, przekazał nam jego bratanek, Pliniusz Młodszy w liście do nie byłego, ko mu do sławnego historyka Tacyty. Młody literat przeżywał w tym

swych najbliższych. Trzy ludne, pełne życia miasta — Pompei, Herulanum, Stabiae — pozostały istnieć. Dwa z nich przykryła gruba warstwa popiołu. Trzecie, Herulanum, zalane jest lawą-biotem, które jeszcze dziś utrudnia wykopaliska. W gruzach domów znaleźli śmierć ci wszyscy, którzy szukali ocalenia w murach, zamiast uciekać w pole; niewolnicy przykuli do łańcuchów, gladiatorzy zamknięci w koszarach, chorzy na postaniach. Wraz z ludźmi zginęło bydło uwiązane w stajniach.

Wybuch Wezuwiusza zmienił zupełnie nie tylko widok miast. Wpłynął częściowo na ukształtowanie terenu oddalając nadbrzeże ongiś Pompei



Wybuch Wezuwiusza w r. 79 (reprodukcja statuetki z ówczesnej fotografii)

czasie w Miene wraz z matką i czekał na wiadomości od siostry. Tam również nie było bezpiecznie. Jakby nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa Pliniusz sprzedał na lekturze "Historii Rzymu" Liwiusza. Nad ranem, gdy trzęsienie ziemi i deszcz kamienny zagrażają życiu, Pliniusz wraz z matką udaje się na brzeg. Widok jest tragiczny. Drogi zapchane uciekającą ludnością. Wśród ciemności, gdy dzień i noc nieczym się nie różni, wszyscy z trudnością szukają ratunku. Płacz i krzyki rozdzierają powietrze. Każdy kogoś stracił i gdy wreszcie zaświatł dzień (drogi po wybuchu) a Wezuwiusz uspokoił się, ludzie z obłędem w oczach szukają

od morza, które odsunęło się pod wpływem wylewającej się lawy.

Upłynęło od tego czasu setki lat i dużo się zmieniło. Niemniej ten, kto lubi przeszłość, zatrzyma się z ciekawością nad śladami dawnej kultury i potęgi rzymskiej. Zostały one utwierdzone w wykopaliskach Pompei, tak jak charakter Rzymianina, bez twardości i szczyt — zachował się w śpiżowej niemal postaci Pliniusza Starszego. W czasach, gdy na męstwo zdobywają się ludzie tak często dla celów zniszczenia, ten starzec, który naraził swe życie nie dla sławy, lecz by służyć nauce — wygląda na postać „z nieprawdźwiwego zdarzenia”.

Odpowiedzi Redakcji

Kapr. L. A. Wiersze „Szum, wiat!” i „Szałak cępowy” nie są w formie dojrzałej, nie mają jasności, a to podważa wydanie sądu, co warto dać pisar. Wyjaśnij nam się słuszną dla twórcy siły poetyckiej receptą: nie znużasz się do pisania, pisz tylko wtedy, gdy się czuje konieczność wyrażenia tego, co już przyniosła wyobraźnia.

Jan Kuzel. Oba felicity żywe, zwar ci napisane, nie błądzący jednak mogli pomieścić ich na łamach „Orła”. W tym okresie objęliśmy przesłane ciody suchym, rzekowym sprawowanym, dającym czelniczkowi możliwość zorientowania się w przebiegu całości akcji.

Bolko. Dziękujemy serdecznie za „Słowika”. Spisaliśmy tam dużą przyniosła, jako nowy akcent w „Fafelkiej” twórczości. Oczekujemy dalszych. Zyczymy zdrowia i gratulujemy — nie tylko z powodu wierszy, w

Wł. Ch. „Gońca bojowego” już przeprowadziliśmy przez cenzurę i przygotowaliśmy do druku, gdy z zawiadomieniem wzięliśmy ten sam utwór ogłoszony w „Gońcu Karpackim”. Czyba zasło jakieś nieporozumienie?

Judym. Jak Pan widzi, ostatnie wiersze bardziej nam trafiły do przekonania o niektórych poprzednich, parę z nich drukujemy. W szczególności „Normowa z księżycem” ma wdzięk szerszej poezji.

Plut. Cz. R. „Pies” ma niewątpliwie zalety, ale ma i łatwinę, których wyłączenie wymaga znaczącego wysiłku. Odstępujemy zgodnie z Pana życzeniem.

Por. Zygm. M. Z. Dziękujemy za interesujące artykuły. Korzystamy i prosimy nadal o współpracę.

Bała. Nadesłanych utworów nie mogliśmy pomieścić w „Orle”.

Sylwan. Nie będziemy mogli skorzystać z przesłanego wiersza.

Art. M. Ch. „Klasztor” — ładny, zamierzamy zamieścić. „Cavenish” — raczej nie.

Kapr. Eug. R. H. Dziękujemy za ciekawy reportaż. Jeżeli miejsce pozwoli, postaramy się też skorzystać z pewnymi skrótami w jednym z przyszłych numerów.

Pchor. A. S. H. Wiersz pisany na „Widmie” w godzinę po zajęciu — to rzeczywiście ciekawy dokument. W druku jednak nie wypadłby najbardziej rzeczowo. Jedno z poświadczeń najbardziej literacki reportaż i to byłby, jaki się znalazł na łamach „Orla”.

Do Czytelników

Zaledwie przed dwoma tygodniami usprawiedliwiali się redakcja z powodu zmniejszenia formatu pisma, a oto przyszedł nowy transport papieru — i znowu przechodzimy na większy format. Zdajemy sobie sprawę, że takie zmiany utrudniają oprowanie i przechowywanie kompletów i tobią wrażeń niedocenywania redakcji, niestety jednak na wojnie i w dzisiejszych warunkach dostawa trzeba się cieszyć z tego papieru, jaki jest i ni można sobie pozwolić na zbyt ekonomiczność.